

# **ERNEST HEMINGWAY**

## **Zielone wzgórza Afryki**

Przełożyła Anna Dzierzgowska

**M A R G I N E S Y**

*Green Hills of Africa*

COPYRIGHT © BY Hemingway Foreign Rights Trust /  
Hemingway Copyright Owners 2020. All rights reserved.

COPYRIGHT © FOR THE POLISH TRANSLATION BY  
Anna Dzierzgowska

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY  
Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2025

Dla Philipa, Charlesa i Sully'ego

## Przedmowa

Inaczej niż w przypadku wielu powieści żadna z postaci ani żadne wydarzenie w tej książce nie są fikcyjne. Każdy lub każda, kto nie znajdzie tu dostatecznie dużo rzeczy z życia wziętych, upoważniony jest do tego, by dodać dowolne z życia wzięte wątki, jakie w danym momencie jego lub ją zajmują. Autor podjął próbę napisania książki w pełni prawdziwej, aby zobaczyć, czy kształt terenu i wzorzec wydarzeń rozgrywających się w ciągu miesiąca mogą, jeśli zostaną prawdziwie przedstawione, rywalizować z tworem wyobraźni.



## Dążenie i rozmowa

Siedzieliśmy za osłoną, którą myśliwi Wanderobo zbudowali z witek i gałęzi na skraju naturalnej lizawki, kiedy usłyszeliśmy nadjeżdżającą ciężarówkę. Początkowo była zbyt daleko i nikt nie potrafił powiedzieć, co to za dźwięk. Później stanęła i mieliśmy nadzieję, że to nic takiego, może po prostu wiatr. Po chwili ruszyła i przybliżyła się powoli, teraz już nie do pomylenia z czymkolwiek innym, coraz głośniejsza, aż, z bolesnym szczękiem głośnych, nieregularnych paroksyzmów silnika, minęła nas z bliska i ruszyła dalej drogą. Ten z dwóch tropicieli, który wykazywał się skłonnością do dramatyzmu, wstał.

– To koniec – powiedział.

Przyłożyłem dłoń do ust i gestem nakazałem mu, żeby znów się schował.

– To koniec – powtórzył i szeroko rozłożył ramiona. Nigdy go nie lubiłem, teraz czułem do niego jeszcze mniej sympatii.

– Później – wyszeptalem.

M'Cola potrząsnął głową. Spojrzałem na jego nagą czarną czaszkę, a on odwrócił lekko głowę tak, że mogłem dostrzec cienkie chińskie wąsiki w kącikach jego ust.

– Niedobrze – powiedział. – *Hapana m'uzuri*.

– Poczekaj – odparłem.

Znów schylił głowę, tak że nie wystawała już znad suchych gałęzi; siedzieliśmy w zapiaszczonej dziurze, póki nie zapadł mrok, w którym nie widziałem nawet swojego sztucera; nic już jednak się nie pojawiło. Tropiciel o skłonnościach do dramatyzmu niecierpliwił się i nie mógł usiedzieć spokojnie. Na chwilę przed tym, nim światło zniknęło całkowicie, wyszeptał do M'Coli, że teraz jest już zbyt ciemno, żeby strzelać.

– Zamknij się – odparł M'Cola. – B'wana potrafi strzelać, nawet kiedy ty nic nie widzisz.

Drugi tropiciel, ten wykształcony, kolejny raz zademonstrował swoje wykształcenie, gałązką wydrapując na czarnej skórze własnej nogi swoje imię: Abdullah. Przyglądałem się temu bez zachwyty, M'Cola zaś patrzył na to słowo z twarzą pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu. Po chwili tropiciel je zamazał.

Ostatni raz spojrzałem przez celownik, korzystając z resztki światła, i uznałem, że nic już z tego nie będzie, nawet z szeroką przesłoną.

M'Cola czuwał.

– Niedobrze – powiedziałem.

– Tak – przyświadczył w suahili. – Do obozu?

– Tak.

Podnieśliśmy się, wydostaliśmy z za osłony i spomiędzy drzew i szliśmy po piaszczystym łą, wymacując szlak między drzewami i pod gałęziami, z powrotem na drogę. Samochód stał przy drodze o milę dalej. Kiedy się zbliżyliśmy, Kamau, kierowca, zapalił światła.

Ciągarówka popsuka wszystko. Tego popołudnia zostawiliśmy samochód i bardzo ostrożnie zbliżyliśmy się do lizawki. Poprzedniego dnia odrobinę padało, nie dość jednak, żeby wypłukać lizawkę, zwyczajną polanę wśród drzew, z łąką ziemi,



w której wydeptane były głębokie kęgi i bruzdy na krawędziach jam, gdzie zwierzęta lizały ziemię, żeby pozyskać sól; zobaczyliśmy długie, świeże tropy w kształcie serca, pozostawione przez cztery byki kudu wielkiego, które przyszły po sól poprzedniej nocy, a także liczne nowo wyłobione ślady kudu małych. Był też nosorożec, który sądząc po śladach i rozkopanej stercie trawiastego nawozu, przychodził tu co noc. Osłona stała w odległości strzału z łuku od lizawki i siedząc, odchylony do tyłu, z kolanami podciągniętymi pod brodę i schyloną głową, zobaczyłem mniejszego kudu, który wyszedł z zarośli na skraju polany, tam, gdzie była sól, i stał tak, szary, przystojny, z ciężkim karkiem, rogami spiralnie wznoszącymi się na tle słońca, kiedy wycelowałem w jego pierś; powstrzymałem się od strzału, nie chcąc wystraszyć większego kudu, który z pewnością powinien nadejść o zmierzchu. Zanim jednak my usłyszeliśmy ciężarówkę, usłyszał ją byk; ruszył ku drzewom, a wszystkie inne stworzenia, które poruszały się wśród krzewów na równinie albo zbiegały z niewysokich wzgórz między drzewa, żeby skosztować soli, zamarły na ten wybuchowy, brzękliwy dźwięk. Wrócą jeszcze, po zapadnięciu zmroku, wtedy jednak będzie już za późno.

Teraz więc jechaliśmy piaszczystym szlakiem w samochodzie, którego światła wyławiały oczy nocnych ptaków, czających się nisko nad ziemią, póki cielsko samochodu nie znalazło się tuż nad nimi, a one podrywały się z miękkim poszumem paniki; mijaliśmy ogniska koczowników, którzy za dnia tą drogą wędrowali na zachód, porzucając obszar dotknięty głodem, który pozostał za nami; siedziałem z kolbą sztucera na stopie, lufą w zgięciu lewego ramienia, z piersiówką whisky między kolanami, nalałem alkohol do metalowego kubka i podałem go nad ramieniem w mrok, żeby M'Cola dolał wody z manierki,

wypiłem, pierwszy drink tego dnia, najlepszy ze wszystkich; spoglądałem na gęste krzewy, które mijaliśmy w ciemności, czułem chłodny nocny wiatr i wdychałem mocny zapach Afryki, i byłem w pełni szczęśliwy.

Nagle przed nami zobaczyliśmy wielkie ognisko i kiedy je miniliśmy, dostrzegłem przy drodze ciężarówkę. Kazałem Kamau zatrzymać się i cofnąć, a kiedy tyłem wjechalismy w światło ogniska, zastaliśmy tam niskiego, krzywonożego mężczyznę w tyrolskim kapeluszu, skórzanych szortach i w rozpiętej koszuli, stojącego nad odkrytym silnikiem, w otoczeniu tłumu krajowców.

– Możemy jakoś pomóc? – spytałem.

– Nie – odparł. – Chyba że jest pan mechanikiem. Zniechęciło mnie. Nie ma silnika, który by mnie lubił.

– Myśli pan, że to może być regulator czasowy? Kiedy pan nas mijał, brzmiało to jak postukiwanie w rozrządzie.

– Sądzę, że jest o wiele gorzej. Brzmi jak coś naprawdę fatalnego.

– Jeśli zdoła pan dotrzeć do naszego obozu, mamy mechanika.

– Czy to daleko?

– Jakies dwadzieścia mil.

– Rano spróbuję. Teraz boję się zmuszać to do dalszego ruchu, biorąc pod uwagę odgłosy wewnętrznej martwoty. Ono próbuje umrzeć, ponieważ mnie nie znosi. No cóż, ja też go nie znoszę. Tyle że jeśli ja umrę, jego to nie obejdzie.

– Ma pan ochotę się napić? – Wyciągnąłem piersiówkę. – Moje nazwisko Hemingway.

– Kandisky – odparł, skłaniając głowę. – Hemingway, to nazwisko gdzieś już słyszałem. Gdzie? Gdzież to je słyszałem? A tak. *Dichter*. Zna pan Hemingwaya, poetę?

– Gdzie pan go czytał?

– W „Querschnitt”.

– To ja – powiedziałem, pochlebiony. „Querschnitt” było to niemieckie czasopismo, do którego napisałem kilka dość nieprzyzwoitych wierszy i w którym opublikowałem dłuższe opowiadanie, wiele lat przed tym, nim zdołałem cokolwiek sprzedać w Ameryce.

– Bardzo to dziwne – orzekł mężczyzna w tyrolskim kapeluszu. – Proszę mi powiedzieć, co pan sądzi o Ringelnatzu?

– Jest znakomity.

– A zatem podoba się panu Ringelnatz. Dobrze. A co pan sądzi o Heinrichu Mannie?

– Nie jest za dobry.

– Tak pan uważa?

– Wiem tyle, że nie byłem w stanie go czytać.

– Zdecydowanie jest kiepski. Widzę, że wiele nas łączy. Co pan tutaj robi?

– Poluję.

– Mam nadzieję, że nie kość słoniowa?

– Nie. Na kudu.

– Czemu ktokolwiek miałby polować na kudu? Pan, człowiek inteligentny, poeta, strzelający do kudu?

– Jeszcze żadnego nie ustrzeliłem – powiedziałem. – Ale poluję na nie uparcie już od dziesięciu dni. Dostalibyśmy jednego dzisiaj, gdyby nie pański wóz.

– Biedny wóz. Ale polować należy przez cały rok. Zanim rok się skończy, ustrzeli już pan wszystko, co się da, i zacznie pan odczuwać współczucie. Polowanie na jedno konkretne zwierzę to nonsens. Czemu pan to robi?

– Tak lubię.

– No tak, skoro pan tak lubi. Proszę mi powiedzieć, co pan tak naprawdę myśli o Rilke?

– Czytałem tylko jedną rzecz.

– Co?

– *Korneta*.

– Podobało się panu?

– Tak.

– Nie mam do tego cierpliwości. Pretensjonalne. Valéry, tak. Rozumiem, o co chodzi z Valéry, chociaż u niego też jest sporo pretensjonalności. No cóż, przynajmniej nie zabija pan słoni.

– Zabiłem już całkiem sporego.

– Jak dużego?

– Jakies siedemdziesiąt funtów. Może mniejszy.

– Jak widzę, co do pewnych rzeczy się nie zgadzamy. Ale to przyjemność spotkać kogoś ze starej dobrej gromadki „Querschnitta”. Proszę mi powiedzieć, jaki jest Joyce? Nie mam pieniędzy, żeby go kupić. Sinclair Lewis jest do niczego. Jego akurat kupiłem. Nie, nie. Powie mi pan jutro. Nie będzie miał pan nic przeciwko, żebym rozbił obóz w pobliżu? Jest pan z przyjaciółmi? Ma pan białego myśliwego?

– Z żoną. Będzie nam bardzo miło. Tak, i z białym myśliwym.

– Czemu nie ma go tu z panem?

– Uważa, że kudu powinno się ustrzelić w pojedynkę.

– Lepiej w ogóle nie polować na kudu. Jaki on jest? Anglik?

– Tak.

– Cholerny Angol?

– Nie. Bardzo miły. Spodoba się panu.

– Musi pan jechać. Nie mogę pana zatrzymywać. Być może spotkamy się jutro. Bardzo dziwne, że się tak spotkaliśmy.

– Tak – odparłem. – Niech jutro spojrzą na pana ciężarówkę. Zrobimy, co się da.

– Dobrej nocy – powiedział. – Dobrej drogi.

– Dobranoc – odpowiedziałem.

Ruszyliśmy i zobaczyłem, jak idzie w kierunku ognia, machając ręką do krajowców. Nie spytałem go, czemu ma ze sobą dwudziestu krajowców z dalekiego regionu kraju ani dokąd zmierza. Jeśli się nad tym zastanowić, w sumie o nic go nie spytałem. Nie lubię zadawać pytań, tam, gdzie dorastałem, uchodziło to za nieuprzejme. Teraz jednak od dwóch tygodni nie widzieliśmy białego człowieka, nikogo, odkąd wyjechaliśmy z Babati na południe, i nagle wpada się na kogoś na tej drodze, na której tylko od czasu do czasu widzi się hinduskich kupców i krajowców, stale migrujących z ogarniętych głodem terenów, i to kogoś, kto wygląda jak karykatura Benchleya w tyrolskim kostiumie, kto zna twoje nazwisko, nazywa cię poetą, czytał „Querschnitt”, jest wielbicielem Joachima Ringelnatza i ma ochotę rozmawiać o Rilke – wszystko to było zbyt nieprawdopodobne, żeby się nad tym zastanawiać. I właśnie w tym momencie, żeby ukoronować ten ciąg zbiegów okoliczności, w światłach samochodu na drodze przed nami ukazały się trzy wysokie, stożkowate, dymiące kopce. Gestem nakazałem Kamau, żeby się zatrzymał, i wciskając hamulce, prześlizgnęliśmy się tuż obok nich. Miały dwie do trzech stóp wysokości i kiedy dotknąłem jednego z nich, okazał się dość ciepły.

– *Tembo* – powiedział M’Cola.

Był to nawóz pozostawiony przez słonie, które dopiero co przeszły tą drogą, i widać było, jak paruje w chłodzie wieczoru. Niebawem znaleźliśmy się w obozie.

Następnego ranka wstałem i ruszyłem przed świtem do następnej lizawki. Kiedy się zbliżaliśmy, wyłaniając się zza

drzew, przy lizawce znajdował się byk kudu – wydał z siebie głośne szczeknięcie, przypominające psie, ale w wyższym tonie i ostro gardłowe, i zniknął, początkowo zupełnie bez hałasu, później, kiedy już się oddalił, tłukąc się o krzaki, i tyleśmy go widzieli. Do tej lizawki nie sposób było się zbliżyć. Odsłonięty obszar był otoczony drzewami, więc było tak, jakby to zwierzyzna znajdowała się za osłoną i podchodzenie jej wymagało przejścia przez otwarty teren. Mógłby to zrobić tylko pojedynczy człowiek, czołgając się, przy czym z uwagi na splecione gałęzie strzał z bliska byłby możliwy, dopiero gdyby podeszło się na dwadzieścia jardów. Oczywiście, kiedy już znalazłeś się w środku ochronnego kręgu drzew i za osłoną, miałeś znakomite miejsce, ponieważ cokolwiek chciałoby podejść do soli, musiałyby wyjść na otwarty obszar – jakieś dwadzieścia pięć jardów od jakiegokolwiek schronienia. Ale choć czekaliśmy do jedenastej, nic się nie pojawiło. Stopami wygładziliśmy starannie piach na powierzchni lizawki, żeby po naszym powrocie widać było wyraźnie wszelkie nowe ślady, i ruszyliśmy w stronę oddalonej o dwie mile drogi. Zwierzyzna łowna nauczyła się wychodzić jedynie nocą i znikać przed świtem. Ten jeden byk został, ale to, żeśmy go rankiem wystraszyli, dodatkowo wszystko utrudniało.

Był to już dziesiąty dzień polowania na większe kudu, a ja wciąż jeszcze nie widziałem dorosłego byka. Zostały nam już tylko trzy dni, ponieważ na północ od strony Rodezji stale przesuwały się deszcze i o ile nie byliśmy przygotowani, by zostać w tym samym miejscu w czasie pory deszczowej, musieliśmy znaleźć się aż w Handeni, zanim nadejdą. Ustaliliśmy, że 17 lutego będzie ostatnim dniem, kiedy można będzie bezpiecznie wyruszyć. Teraz co rano ciężkie, wełniste niebo potrzebowało przynajmniej godziny, żeby się oczyścić, i można